

Hanadi

15 kwietnia 2008

Zwykły dzień. Popołudnie, mówiąc ściśle. Poszedłem do biblioteki, znajdującej się niedaleko akademika, w którym mieszkam. Oprócz książek znaleźć tam można mój dzisiejszy cel – komputery z dostępem do Internetu. Planowałem, korzystając z kilku wolnych chwil, powysyłać znajomym maile, poczytać polską prasę i załatwić przy okazji jeszcze kilka podobnych spraw.

W sali, w której znajdują się komputery, nie było tłoku. Poza mną zajęte były może jeszcze dwa stanowiska. Do tego pani, służąca pomocą w razie kłopotów z komputerami i znajomy strażnik. Na chwilę od komputera oderwała mój wzrok nowa postać, która siadła przy komputerze niedaleko mnie. Okazała się ubraną zwyczajnie (czyt. nie w hidżab) dziewczyną, która miała jakieś problemy z komputerem, z którego akurat korzystała. „Nowa” – pomyślałem. Po kilku miesiącach pobytu w Kuwejcie, wiem już dokładnie, co dolega któremu komputerowi – przy jednym nie można drukować, przy innym nie otwiera się moja skrzynka pocztowa, przy innym niektóre polskie portale internetowe. Nic wielkiego, trzeba tylko trochę z tymi komputerami mieć do czynienia. Ona najwyraźniej nie miała. Rozwiązanie problemu było do przewidzenia – pani zaproponowała „nowej”, żeby spróbowała skorzystać z innego komputera, wskazując ten obok mojego stanowiska. „Dobra robota”, pomyślałem, „ten komputer też działa bez zastrzeżeń”. Wróciłem do pisania maila. Nie dane mi było jednak dokończyć, gdyż koleżance obok mnie znów coś przestało się zgadzać. Pech chciał, że pomocna pracowniczka biblioteki gdzieś się ulotniła – pewnie skończyła już pracę (godzina 14.00 to dobra pora na zakończenie w Kuwejcie wszelkiej aktywności zawodowej). Nie było też strażnika. Cóż miało biedne dziewczę począć, musiało poprosić mnie o pomoc. Uczyniło to jednak w dość osobliwy sposób. Otóż siedząc na wyciągnięcie ręki, tuż obok mnie, zaczęła rozpaczliwie coś powtarzać do komputera. Do tego

robiła tak bezradną minę, że nie mogłem tak po prostu siedzieć i nie zaproponować pomocy w zmaganiach z bezduszną maszyną.

Okazało się, że Hanadi , bo tak miała na imię dziewczyna (imię, jak mi wyjaśniła, pochodzi od nazwy miecza, bardzo znanego w krajach arabskich, sprowadzanego tu niegdyś z Indii), próbowała bezskutecznie założyć sobie konto mailowe. Pomimo faktu, że dobrze radziła sobie z angielskim, nie wszystkie pola, jakie musiała wypełnić, były dla niej jasne. „A to co?” „Hasło” i wytłumaczyłem, do czego służy i co zrobić, kiedy np. się go zapomni. „Zjen. To wpiszę coś – tylko nie patrz – odwróć się!”. Początkowo trochę się zdziwiłem, po czym z radością wróciłem do swojego maila. Nie na długo. Chwilę potem przyszła bowiem kolej na dane osobowe – okazało się, że moja nowa koleżanka właśnie przekroczyła trzydziestkę. Muszę przyznać, że bardzo mnie to zaskoczyło. Zacząłem dyskretnie przyglądać jej się dokładniej. Uświadomiłem sobie przede wszystkim, że to naprawdę piękna kobieta. Starałem się doszukać wpływu czasu na jej rysy. Praktycznie bez efektu. Twarz rzeczywiście dojrzała, kobieca – już nie dziewczęca, ale wciąż młoda, rześka, doskonale opierająca się upływowi lat. Duże oczy, kształtne usta, długie czarne włosy. Arabski klasyk. I ta trzydziestka! Nie dałbym jej więcej niż 23 lata! Ile takich mija mnie codziennie okrytych hidżabami?

Najwięcej wątpliwości wzbudziło w niej pytanie o kod pocztowy. Nie wiem, do czego przy tworzeniu skrzynki pocztowej miałby on być potrzebny, ale tu akurat był wymagany. „Nie podam”. Stwierdziła stanowczo Hanadi. „Czemu?” „Bo nie chcę. Po co im to?” „Nie wiem, jest potrzebne i już. Możesz wpisać cokolwiek” „Jak to cokolwiek?” „Wymyśl jakiś kod” „Niczego nie będę wymyślać! To może być komuś potrzebne!” „EEE... No tak... Czyli co teraz?” „No nie wiem. A możesz podać swój?” „Chętnie bym to zrobił, ale nie pamiętam go, a nie wziąłem ze sobą dokumentów”. No i kłapa. Próbowaliśmy wpisać kilka kodów – uniwersytetu, znajomej księgarni, ambasady saudyjskiej – wszystko na nic – strona była sprytniejsza od nas i nie

chciała ich zaakceptować. Hanadi zaś uparcie trwała na straży tajemnicy swojego adresu.

Początkowo trochę dziwił mnie jej podniesiony ton. Stwierdziłem jednak, że ktoś w końcu rozwiąże ten problem za mnie – przyjdzie i uciszy nas raz i drugi. Nikt tego nie zrobił. Trwaliśmy więc w tym osobliwym dialogu, w którym jedno mówiło głośnym, soczystym, radosnym głosem, słysząc co jakiś czas krótki, nieśmiały szept odpowiedzi.

Postanowiliśmy założyć konto na innym portalu. Tu zaczęło nam pomagać więcej osób, bo rezolutna Hanadi zaprosiła do współpracy dwie dziewczyny, które akurat znalazły się w zasięgu wzroku. No i spróbowaliśmy raz jeszcze. Kiedy już zaczęliśmy zbliżać się ku końcowi, moja nowa kuwejcka znajomość postanowiła, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu i że poprosi mnie o pomoc w odrabianiu lekcji z angielskiego. Popatrzyłem ze smutkiem na mojego wciąż nie dokończonego maila i przekląłem godzinę, w której, będąc w liceum, zdecydowałem się nie uczestniczyć w zajęciach poświęconych asertywności. Oczywiście, zgodziłem się pomóc bezradnej niewieście (przeklęte dobre wychowanie). Chodziło o napisanie jakiegoś krótkiego artykułu na jakiś temat. Hanadi zaproponowała, że będzie pisać, a ja poprawiać jej błędy. W międzyczasie po drugiej stronie stołu, naprzeciw nas siadła dwójka Kuwejtczyków. Zaczęli po cichu ze sobą rozmawiać. Hanadi to wystarczyło. „Lau smaht!” Rażno wykrzyknęła w kierunku zbliżającego się do nas strażnika. „Co to jest? Jak ja mam tu pracować? Czemu oni są tak głośno?!” Wystarczyłoby te słowa wyszeptać, a dwójka Kuwejtczyków bez problemu by je usłyszała. Chodziło najwyraźniej o zrobienie większego efektu. Udało się. Dwie pary oczu spojrzały spod ghutr na nas ze zdziwieniem, na co niezawodna Hanadi powtórzyła – dla pewności efektu, jak mniemam, swoją kwestię. Teraz już nie było wątpliwości – po pięciu minutach śladu po chłopakach nie było. Strażnik, który zbliżył się do nas, pomimo iż, jak to powiedziałem, mój znajomy, nie miał przyjaznych zamiarów.

Oznajmił nam, że wspólna nauka (tzn. mężczyzn i kobiet) jest na terenie Uniwersytetu zabroniona (!!!). Nie muszę chyba wyjaśniać, jak zareagowała Hanadi? Nie wszystko, co powiedziała zrozumiałem, ale zasadniczo, nie patyczkowała się z Bogu ducha winnym ochroniarzem. Biedny, chyba przyzwyczajony był do tego typu ekscesów, bo przeczekał tylko potok słów Hanadi i powiedział mi (na nią nawet nie patrząc): „Saferi – nie wolno Ci z nią tu rozmawiać. Będą problemy”. „Nie ma sprawy, skończymy, co zaczęliśmy i więcej nas nie usłyszysz”.

Pisanie artykułu trwało jednak trochę dłużej, niż się spodziewałem. Po kilku liniijkach stwierdziłem, że lepiej, jeśli sam będę autorem tekstu i poprawek do niego, choć Hanadi nie dawała za wygraną. Słodko nadąsanym głosem dawała do zrozumienia, że to i to jej się nie podoba, że może by uwzględnić to a to i, że w ogóle to mam okropny charakter pisma, i jak ona mnie później odszyfruje?? Skądinąd o wątpliwej urodzie mojej kaligrafii wiedzieli już wszyscy w okolicy, a tak się jakoś złożyło, że kilkoro studentów akurat zaszczyciło swoją obecnością mury biblioteki. Pisałem więc ten artykuł, przekazując jej w tym samym czasie spostrzeżenia dotyczące sposobów korzystania z konta mailowego słuchając jej mniej lub bardziej rozpraszających uwag i dochodzącego do mnie coraz bardziej zniecierpliwionego głosu mojego znajomego ochroniarza – „Saferi – lau smaht” , „muszkila”, „haram alajk” itp. Starałem się go jakoś uspokajać, ale z czasem dałem spokój. Mogłem już tylko wzruszając ramionami dokończyć pisanie nieszczęsnego artykułu i patrzeć na coraz bardziej zatroskane i współczujące mi twarze kilkorga studentów siedzących przy stolikach obok. Kiedy wreszcie praca dobiegła końca, pożegnawszy się z Hanadi i przeprosiwszy spojrzeniem egipskiego strażnika, wybiegłem, nie oglądając się za siebie, z biblioteki prosto w skąpany w żarze późno marcowego słońca plac przed budowlą Wydziału Socjologii.

Autor: Ksawery Jankowski

Źródło: [Arabia](#)